

Jan Rokita: Rok nowych niebezpieczeństw

Spełniło się marzenie co niektórych polskich analityków i filozofów polityki (zwłaszcza konserwatywnych), aby obywatele „ściągnąć z grilla” i skłonić do republikańskiej postawy uczestnictwa – pisze Jan Rokita w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „2019. Ostatni rok dekady”.

Wybory, sądy i budżet – to najbardziej doniosłe zagadnienia polskiej krajowej polityki w minionym roku. Te trzy zagadnienia określiły główny nurt polskiej polityki w roku 2019, a wszystko co w niej najistotniejsze działo się właśnie na tych trzech polach. Co jednak ważniejsze, fakty które wydarzyły się na każdym z tych pól będą mieć doniosłe skutki dla polskiej rzeczywistości nie tylko w roku obecnym, ale zapewne także w latach następnych. W tym sensie długa kampania wyborcza i wyniki dwóch powszechnych głosowań roku 2019, nowe oblicze jakie przybrał konflikt wokół wymiaru sprawiedliwości, jak i kluczowe decyzje w dziedzinie finansów publicznych podjęte w ciągu minionego roku przez większość rządową – w znacznym stopniu będą wyznaczać teraz horyzont krajowej polityki. Z analitycznej perspektywy można by rzec, iż to co się zdarzyło w minionym roku pozwala dostrzec nowe i nieoczywiste wcześniej perspektywy, a także unaocznia nowe, trudne dotąd do zauważenia niebezpieczeństwa.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

Wyniki wyborów parlamentarnych 2019 roku pozwalają postawić tezę o silnej polityzacji polskiego społeczeństwa, widomej z całą jaskrawością, jeśli porównać łączne liczby głosów oddanych na dwie rywalizujące o władzę partie – PiS i PO w roku 2005, gdy szły one we względnej zgodzie oraz obecnie, gdy prowadziły *sui generis* kampanijną „wojnę totalną”. Aż trudno uwierzyć, że to ten sam kraj i naród, a owa różnica może być dwuipółkrotna (5,3 mln i 13 mln)! Spełniło się więc marzenie co niektórych polskich analityków i filozofów polityki (zwłaszcza konserwatywnych), aby obywatele „ściągnąć z grilla” i skłonić do republikańskiej postawy uczestnictwa. Ta prawdziwa eksplozja polityczności ma z jednej strony dobry skutek w postaci najsilniejszej legitymizacji obecnej władzy, w zestawieniu z wszystkim wcześniejszymi rządami wolnej Polski. Ale trudno nie zauważyć, że – jak w balladzie o uczniu czarnoksiężnika – rozpętane demony polityczności roznamiętniły naród w taki stopniu, że ich ponowne zapędzenie do butelki może być w najbliższych latach nieosiągalne. I to nawet gdyby pojawiła się nagła potrzeba narodowej jedności z racji zagrożenia państwa albo jakiegoś poważnego (możliwego przy obecnym stanie globalnej polityki) międzynarodowego kryzysu. I to jest poważny polski problem.

Po wyborach 2019 hipoteza przyszłego „polskiego Zapatero” przesunęła się z poziomu politycznych bajek na poziom przyszłych realnych możliwości

Wybory potwierdziły również hipotezę o strukturalnej słabości Platformy, jako liberalnej formacji stanowiącej alternatywę dla PiS-u. Mówiąc jasno: nie ma dziś w Polsce

nikogo poważnego (z Donaldem Tuskiem czy zespołem „Wyborczej” włącznie), kto wierzyłby w możliwość odebrania PiS-owi władzy w przyszłości przez Platformę. Tymczasem owa partia tak właśnie przez lata sama definiowała swoją misję, więc wobec niemożności jej wypełnienia staje się teraz czymś na kształt „partii zbędnej”.

Niezależnie zatem od tego jak ostro wyglądałaby w najbliższym czasie walka polityczna, to konflikt PiS-PO tak czy owak jest długookresowo konfliktem schyłkowym. A to z tej racji, że wybory 2019 rozpoczęły proces przekształcania się głównej osi politycznego sporu. Nie jest dziś jasne kto i kiedy zastąpi Platformę w funkcji głównego antagonisty PiS-u, ale nieoczywista jeszcze niedawno transformacja SLD w realnie odmienioną Nową Lewicę, pozwala postawić hipotezę, iż może to być w przyszłości właśnie ów obóz powtórnie odświeżonych postkomunistów. W każdym razie, jeśliby posłużyć się wdzięczną typologią polskich partii ukutą przez prof. Flisa, to dzisiejsza Nowa Lewica nie należy już do kategorii „partii-giermków”, aspirujących co najwyżej do roli młodszych koalicjantów u władzy (jak np. PSL), ale walczy o przejście do kategorii „partii-rycerzy”, tzn. tych, które w przyszłości mogą realnie ubiegać się o urząd premiera. To awans trudny do zbagatelizowania, jeśli spojrzeć nań w kategoriach toczącej Zachód „wojny o kulturę”, gdyż po wyborach 2019 hipoteza przyszłego „polskiego Zapatero” przesunęła się z poziomu politycznych bajek na poziom przyszłych realnych możliwości.

Pełzający bunt elity sędziowskiej, będący reakcją na ograniczenie przez państwo potęgi tej korporacji zawodowej, zszedł w ciągu minionego roku nieco na drugi plan, by na powrót gwałtownie rozpaść się w końcu roku, po listopadowym wyroku unijnego trybunału. I od razu przybrać całkiem nowy charakter. O ile bowiem do tej pory konflikt (nawet w swych najostrzejszych formach) rozgrywał się wokół uprawnień samorządu sędziowskiego oraz walki o zachowanie bądź

zdobycie różnych kluczowych posad w wymiarze sprawiedliwości, o tyle w minionym roku przesunął się on na poziom sporu o legitymizm kluczowych instytucji państwa. Tak się stało za sprawą przeniesienia konfrontacji z płaszczyzny *stricte* politycznej, na której korporacja sędziowska nie od dziś występuje w roli politycznej opozycji, na płaszczyznę wyroków sądowych, kwestionujących legitymizm instytucji, takich m.in. jak urząd głowy państwa albo Krajowa Rada Sądownictwa. Do tej pory nikomu nie przychodziło jeszcze na myśl, aby użyć powagi „rei iudicatae” do prawomocnej delegalizacji aktów państwa, nawet jeśli treść owych aktów budziła najgłębsze oburzenie, a dygnitarze wydający je w imieniu Rzeczypospolitej traktowani byli niczym złoczyńcy. Dopóki bowiem reprezentanci władzy są zwalczani przez swych politycznych wrogów jako złoczyńcy, a wydawane przez nich akty poddawane gruntownej krytyce – dopóty z perspektywy liberalnego państwa wszystko jest ciągle w jak najlepszym porządku. Ale wszystko radykalnie odmienia się, kiedy wyroki sądowe (które jak wiadomo podlegają wykonaniu przez wszystkie instytucje państwa) zaczynają stwierdzać, że akt nominacji sędziego przez prezydenta nie ma mocy, bo jest wydany przez „nie-prezydenta”, albo że jakiś wyrok wydany przez sąd nie jest wyrokiem, bo ów sąd (np. Izba Dyscyplinarna SN) w istocie jest „nie-sądem”.

*Dzisiejsze państwo polskie,
odkąd stanęło wobec
faktycznego aktu konfederacji
sędziowskiej, znalazło się na
ślepych torach*

Tak właśnie wygląda niepokojący stan spraw u początku 2020 roku. Niestety potwierdza on dość szeroko rozpowszechnione w Paryżu czy Berlinie

przekonanie o niepełnej polskiej „dojrzałości do demokracji”, który to

ustrój nieuchronnie zapada się w nicość, jeśli pęka niepisana umowa społeczna o uznawaniu aktów nawet całkiem znienawidzonej władzy. Taki radykalny model oporu wobec państwa wyraźnie odwołuje się do sarmackiego dziedzictwa konfederacji (czy też rokoszu), gdzie grupa obywateli postanawia zbiorowo działać „zamiast państwa”, jednocześnie nadając legalną moc podejmowanym przez siebie aktom władczym. To z kolei nieuchronnie musi wywoływać ze strony państwa kroki odwetowe, niechybnie narażone na uzasadniony zarzut lekceważenia liberalnych praw i swobód. Tym samym państwo zostaje wepchnięte na ślepy tor, na końcu którego w dawnej Polsce następowało rozstrzygnięcie rzeczy siłą. Także dzisiejsze państwo polskie, odkąd stanęło wobec faktycznego aktu konfederacji sędziowskiej, znalazło się na ślepych torze. Zawrócenie go stamtąd przy uniknięciu wielkich szkód jest możliwe, ale wymaga politycznego geniuszu.

Wreszcie na polu trzecim – czyli finansów publicznych zostały w minionym roku podjęte decyzje zasadniczo ograniczające elastyczne reagowanie polskiej gospodarki na cykliczny spadek koniunktury. Najważniejszą z nich ogłosił w lutym Jarosław Kaczyński, a dotyczyła ona podwojenia kosztów popularnego rządowego programu „500plus” przez rozszerzenie go na wszystkie dzieci (co przy okazji zniweczyło szeroko reklamowaną demograficzną funkcję programu). Towarzyszyło jej kilka pomniejszych, acz kosztownych nowych transferów socjalnych, przy równoczesnym (co wyjątkowe) obniżeniu podatków dochodowych. Już wiadomo, że zapowiadana przez premiera „pierwsza równowaga budżetowa” w roku 2020 jest fikcją.

Już wiadomo, że zapowiadana przez premiera „pierwsza równowaga budżetowa” w roku 2020 jest fikcją

Jednak istota rzeczy tkwi w tym, iż logika dobrego rządzenia wymagała, by wobec wyjątkowo dobrej koniunktury kilku ostatnich lat uzyskać

w finansach publicznych wyraźną nadwyżkę, po to by (tak jak zapowiada to właśnie np. rząd niemiecki na rok 2020) mieć środki na pobudzenie gospodarki w okresie dekoniunktury. Niestety gabinet Morawieckiego odwrócił tak rozumianą logikę dobrego rządzenia, zastępując ją logiką wyborczą, na dodatek w tym przypadku raczej wątpliwą, gdyż analiza poparcia PiS wskazuje, iż partia nie zyskała istotnego nowego elektoratu w wyniku tegorocznych operacji socjalnych. Polsce co prawda nie grozi recesja (tak zgodnie twierdzą ważniejsze ośrodki analityczne), ale drugi gabinet Morawieckiego skazany jest na oszczędzanie, ciśnienie biznesu kontrolami fiskusa, podnoszenie podatków i rezygnację z dalszych transferów socjalnych. Logika dobrego rządzenia wymagałaby tymczasem, aby wszystko to działało się odwrotnie, w sobie właściwym czasie i okolicznościach. Jest jasne, że to właśnie miniony rok podwójnych wyborów sprawił, iż na czas aż do roku 2022 (kiedy spodziewany jest nawrót dobrego cyklu) obecny obóz władzy sam spętał sobie mocno ręce, a samo rządzenie uczynił trudniejszym.

Jan Rokita



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego